Asymptote
ISSN 3072-4929

Kategoria

PROZA

Nocna zmiana w hotelu Hilberta

Ksawery Tomczak

Asymptote 06/2026 · październik 2026
© 2026 Asymptote

Streszczenie. Narratorem jest nocny recepcjonista hotelu, w którym jest nieskończenie wiele pokoi i w którym każdy pokój jest zajęty. Kiedy do drzwi dochodzi kolejny gość, a potem autokar nieskończenie wielu gości, a potem nieskończenie wiele autokarów, recepcjonista za każdym razem znajduje miejsce, przesuwając wszystkich. Opowiadanie jest o tym, że w świecie bez końca każdy może zostać przyjęty, ale cena za to jest płacona przez tych, którzy już mieszkają: muszą się wyprowadzać, zanim zdążą się rozpakować.

Hotel nie ma końca, więc nie ma też recepcji w zwykłym sensie. Ja siedzę przy biurku, które stoi przy wejściu, i mam ten przywilej, że z mojego miejsca widać pokój numer jeden. Nie widać pokoju numer dwa, trzy ani miliona. Widać tylko jedynkę, bo korytarz biegnie w głąb i znika, jak każdy korytarz, na którym nie ma końca.

Wszystkie pokoje są zajęte. Nie mam na to żadnego papierowego dowodu. Wiem to stąd, że nigdy nie zdarzyło się, żebym powiedział „nie ma miejsc". Ale też nigdy nie powiedziałem „jest wolny". Wiem, że pokój numer n jest zajęty, bo wiem, kto w nim mieszka. W jedynce pan Stanisław. W dwójce sąsiadka, której imienia nie pamiętam. W trójce dwóch braci, którzy zawsze się kłócą, ale tylko o pogodę.

Nocą przychodzi nowy gość. Dzwoni, jak dzwonią wszyscy: dwa razy, nieśmiało. Ma walizkę, kapelusz i mina człowieka, który nie wierzy, że mu się uda.

„Mam wolny pokój?" — pyta.

„Wszystkie są zajęte" — mówię. — „Ale to niczego nie zmienia".

Biorę telefon i dzwonię do każdego pokoju, jednego po drugim, i o każdym mówię to samo: proszę przenieść się o jeden pokój dalej. Pan Stanisław do dwójki. Sąsiadka do trójki. Bracia do czwórki. Pokój numer n do pokoju numer $n+1$. Nikt się nie sprzeciwia. Telefonuję do wszystkich naraz, bo nie mam wyjścia, i wszyscy w tej samej chwili biorą walizki i przechodzą dalej. Wolny zostaje pokój numer jeden.

Gość wchodzi. Postawił walizkę. Rozgląda się i mówi: „Przecież mówiliście, że nie ma miejsc".

„Nie było" — odpowiadam. — „Teraz jest".

Nad ranem przyjeżdża autokar. Nieskończenie wiele pasażerów, każdy z biletem opatrzonym numerem: pierwszy, drugi, trzeci, i tak dalej. Kierowca wchodzi pierwszy, zdejmuje czapkę i mówi: „Przepraszam, że tak późno". Podnoszę słuchawkę.

Tym razem zasada jest inna. Pokój numer n przenosi się do pokoju numer $2n$. Pan Stanisław z jedynki do dwójki. Sąsiadka z dwójki do czwórki. Bracia z trójki do szóstki. Wszyscy dotychczasowi goście lądują w pokojach parzystych. A wszystkie pokoje nieparzyste — jeden, trzy, pięć, siedem — zostają wolne. Nieskończenie wiele. Dla pasażera o numerze k wystarczy pokój numer $2k-1$.

Pasażerowie wchodzą długim rzędem, aż zniknie ostatni, którego nie ma.

Jest jednak coś, czego uczy ta praca i czego nie ma w żadnym podręczniku. Za każdym razem, gdy przyjmuję nowego gościa, ktoś musi się przeprowadzić. Pan Stanisław przez lata wędrował od jedynki, do dwójki, do czwórki, do ósemki, do szesnastki. Nigdy nie zdążył się rozpakować. Kiedy pytam go, czy mu to przeszkadza, odpowiada: „Skoro wszyscy się mieszczą, to chyba nie mam prawa się skarżyć". I po chwili dodaje: „Choć szkoda, że z każdym razem mieszkam dalej od drzwi".

W nocy, kiedy hotel milknie i słychać tylko własny oddech, czasem myślę o tym, że hojność, która nie kosztuje niczego, nie jest hojnością. A tutaj kosztuje wszystkich po trochu, z pozoru za darmo. Nikt nie traci miejsca. Wszyscy tracą bliskość pierwszego pokoju.

Był taki dzień, kiedy przyjechało nieskończenie wiele autokarów, w każdym nieskończenie wielu pasażerów. Wtedy zrobiłem się naprawdę zmęczony. Zrobiłem to samo, co zawsze: podniosłem słuchawkę. Pan Stanisław z jedynki do dwójki. Sąsiadka z dwójki do czwórki. Bracia z trójki do ósemki — tym razem pokój numer n przenosił się do pokoju numer 2^n. Pasażerom z kolejnych autokarów przydzielałem pokoje według dziwnego klucza, w którym każdy autokar dostawał własną liczbę pierwszą i zajmował jej kolejne potęgi. Nikt nie dostał dwóch pokojów. Nikt nie został na ulicy.

Rano, kiedy już było po wszystkim, ktoś zapytał mnie, czy nie jest to zadanie nie do wykonania. „Wykonuję je co noc — odpowiedziałem — i nigdy nie okazało się niewykonalne". „Nie boi się pan, że kiedyś zabraknie miejsc?" — „Nie" — powiedziałem. — „Boję się tylko, że ktoś kiedyś zapyta, czy wszyscy lubią się przenosić".

Wciąż nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Dlatego siedzę przy biurku i patrzę na pokój numer jeden. Przez uchylone drzwi widać, jak pan Stanisław znów pakuje swoją jedyną walizkę. Pewnie ktoś przyjechał.